

## Legendy związane z solectwem

# TAJEMNICZY DĄB

Iwona Sławecka

Nie chcę myśleć o... przygodzie, ale lubię szwendać się wśród traw, gdzieś po lasach, po ruinach, starych dworach z dawnych lat...

Podczas jednej z takich włóczęg trafiłam do Bzowa. Z dawnego świetnego majątku zachowało się dość sporo budynków. Nie było już młyna, widziałam jazy i przepusty, które pozostały. Nie było stelmacharni, stajni koni wyścigowych, pałacu. Zobaczyłam dość wysoką górkę. Rosły na niej zdziczałe krzewy, samosiejki klonów, tarnina, ogromne kępy traw, pokrzyw i chwastów. Cała górka obmurowana była walącym się ze starości kamiennym murem. Ceglane słupki przewracał czas. Zaczęłam szukać. Trafiłam na betonowe płyty, tworzyły jakby podłogę nieistniejącego budynku. Były w nich dziury zavalone gruzem. Miałam wrażenie, że mój wzrok zagląda do jakichś piwnic czy lochów. Ogarnęła mnie ogromna ciekawość tego miejsca. Obchodziłam górkę wokół, oglądałam liczne murki tworzące tarasy. Zafascynowało mnie to miejsce. Niezwykłe. W środku wsi, a jakby poza nią. Bezludne. Opuszczone. Miałam wrażenie, że zaglądają tam tylko ludzie chcący wypić w ukryciu jakąś wodę ognistą.

Mój zatrzymał się na drzewie. Nie spuszczać z niego oczu, powoli zaczęłam iść w jego kierunku. Podeszłam. Drżącymi palcami dotykałam kory. Drzewo było stare. Bardzo stare. Dzieje wieków zrujnowały je strasznie. Pusty środek. Wypalony. Ziejący czeluścią gardła ku obłokom. Żywe zielone konary pozostały tylko z jednej strony. Śpiewały tam ptaki. Przytuliłam do pnia policzek. Podniosłam oczy do góry i zamarłam. Ujrzałam twarz. Straszna twarz.

Cudowna cisza otulała wszystko, nie czekał żaden pies. Czulałam, pieśń drzewa. Starego dębu. Delikatny wietrzyk owiewał mi twarz. Zaczarowany szept trwał i trwał. Słuchałam go z wypiekami na policzkach. Bałam się odetchnąć by nie przysł czar. A stary dąb śpiewał mi tak:

- Dobrze, że jesteś. Stoję tu prawie tysiąc lat. Nareszcie mogę opowiedzieć ci moją historię. Tak, moją i tego nieszczęśnika. Dojrzałaś go. Było to dawno, dawno temu. Byłam już dość poważnym dębem. Coś około roku 1590, a może powyżej 1600. trudno mi to ustalić.

Tu dąb umilkł, jakby próbował ustalić lata, albo może zebrać myśli. Po chwili zaczął znowu swoją opowieść: - Nie pamiętam dobrze, który to rok, mniejsza z nim. Było to dawno. Tyle się wydarzyło. Były wojny, pokoje. Ludzie rodzili się, umierali. Były susze i burze. Były pożary.

Poczułam coś dziwnego. Świat jakby oddalił się. Zamglił. Rozmazał. Oczami duszy ujrzałam świat. Inne były domy. Inne były drzewa. Inaczej ubrane dzieci biegały boso. Jakiś pastuszek gonił gęsi na łąkę. Droga jechało dwóch konnych. Byli to: właściciel majątku pan Boehn i jego zarządca. Jadąc dyskutowali, żywo wymachując rękami. Mijani chłopci milkli.

Zdejmowali z głów nakrycia i kłaniali się nisko, wbijając wzrok w ziemię. Nie śmieli spojrzeć na pana. Nikt nie odważył poruszyć się dopóty, dopóki jeźdźcy nie przejechali.

Kilku kosiarzy kosiło łąkę. Szli w odstępach jeden od drugiego, rytmicznie wymachiwali kosami. Nie odzywali się do siebie. Pot rosił im czoła. Koszule przykleiły się do pleców. Trawa równymi pasami kładła się na ziemi, mocny jej zapach drażnił nozdrza. W powietrzu rozlegał się klekot bocianów. Para ich szła za kosiarzami wyłapując uciekające żaby. W pobliskim strumyku kilka kobiet prało. Tłukły kijankami namoczone pranie brodząc po kolana w wodzie. Ich śmiechy, rozmowy niosły się daleko. Część wypranych tkanin było już poskładanych w koszach na brzegu strugi.

Było południe. Słońce przypiekało mocno. Z bezchmurnego nieba lał się żar. Zza lasu dochodził daleki dźwięk dzwonów. Ludzie przerwali pracę. Modlili się. Zapadła cisza. Słychać było tylko pisk jastrzębi szybujących w przestworzach.

Nagle rozległ się odgłos galopującego konia. Szybko zbliżał się. Coraz głośniejszy słychać było wrzaski jeźdźcy i świst smagania batem. Zza zakrętu wyłonił się galopujący, wściekły zarządca. Okładał na ośle zwierzę. Oszałały koń kwiczał. Z pyska spadały mu płaty piany. Prerażone oczy błyskały białkami. Stękał. Spienione boki z trudem łapały powietrze. Nagle nogi splątały się, koń runął na ziemię. Wyrzucony z siodła w powietrze ekonom spadł na ziemię, turlając się. Rozwścieczony zerwał się na nogi. Dopadł konia. Okładał go batem gdzie popadnie. Kopał z całych sił. Zwierzę próbowało wstać na nogi. Nie mogło. Pęcina była złamana. Ryk prerażonego zwierzęcia ogłuszał. Osłupiali chłopcy patrzyli, co ten furia wyprawia. Znany był z takich zachowań. Nikt nigdy nie wiedział, za co będzie wychłostany. Czasem wystarczyło spojrzeć, czasem nie dość szybko się pokłonić, a głośny śmiech dziecka, stuknięcie kija starca, tuman kurzu na drodze, nagły poryw wiatru, który zerwał mu kapelusz, powodowały, że chłostał na ośle nie patrząc czy to małe dziecko, czy sędziwy starzec. Ludzie zawczasu woleli kryć się w chatach. Bezwzględnie ściągał daninę. Często chłopcy na przednówku cierpieli głód. Tej zimy nawet dwóch staruszków zmarło.

Koń padł. Zarządca po prostu zatłukł go. Chłopcy skwapliwie pochylili się do roboty. Pilnie udawali, że nic nie widzieli. Obawiali się bata. Kiedy okrutnik odszedł, żywo dyskutowali nad tym, co widzieli. Rozglądali się przy tym pilnie czy ich nie zauważy.

Mijały dni i lata. Zarządca dalej panoszył się, stając się coraz okrutniejszy. Pewnego dnia do wsi przywędrowała starowina. Osiadła w opuszczonej, walącej się ze starości, stojącej na uboczu chałupinie. Szybko dała się poznać jako babka zielarka. Ludziska zachodzili często po zioła, które bardzo pomagały na różne choroby i bóle. Zaczęto mówić, że zna się i na czarach. Pomagała często odbierać porody. Obawiano się jej i ufano.

Ona jedyna nie obawiała się szaleńca. Skwapliwie leczyła u ludzi rany zadane przez bat. Uśmierzała ból i dodawała otuchy.

Któregoś dnia zbierała na skraju lasu zioła. Miała już ich cały fartuch. Gdy przechodziła przez wieś zmęczona usiadła pod dębem. Wycierała spocone czoło. Miała słaby już słuch i nie usłyszała nadjeżdżającego zarządcy. Ten gwałtownie wstrzymał konia. Zeskoczył wściekły. Dopadł starowiny. Złapał za włosy i zaczął wlec do pnia. Kazał parobkom przykuć ją do drzewa. Schwycił bat i już, już miał ją wychłostać, gdy ta nagle wyprostowała się. Spojrzała z gniewem wielkim na niego i rzekła mocnym głosem:

- Bądź przeklęty po wieki! Okrutniku. Zabijałeś, batożyłeś, głodziłeś! Siałeś głód, ból i śmierć! Nie szanowałeś nikogo. Przeklinam Ciebie na wieki!... Przykułeś mnie do drzewa? Teraz ty po wiek wieków bądź uwięziony w drzewie!

Po tych słowach zniknęła zupełnie. Jakby rozplynęła się w powietrzu. Zerwał się wiatr. Zaczął nabierać mocy zwijając się w trąbę. Wirował coraz szybciej i szybciej, wyjąc coraz głośniej, aż do ryku. Porwał oprawcę. Uniósł w powietrze. Pień drzewa otworzył się z hukiem. Wicher cisnął nim do środka.

Zarządca próbował wyrwać się potężnej mocy wrzeszcząc przenikliwie. Na nic się to zdało. Nogi wrastały mu w pień. Coraz bardziej łączył się z drzewem, które zasklepiało się na nim, więziąc go na zawsze. Na zewnątrz pozostała już tylko straszliwie wykrzywiona twarz. Zrastała się coraz bardziej i bardziej z dębem.

Tu mgła zaczęła rzednąć. Inne domy, inaczej ubrani ludzie oddalali się. Zanikali. Rozmywali w powietrzu. Słyszałam znowu zaczarowaną pieśń drzewa.

- Widzisz? Wiem, że ty ją widzisz. Jest tu we mnie. Czasem słyszę przeraźliwy krzyk. To on krzyczy. Myśli, że jak wszyscy mu przebaczą to będzie wolny. Oni już wymarli. Nie ma nikogo, kto podszedłby do jego twarzy i wybaczył, po prostu wybaczył. Po wieki będziemy już razem. Tym razem to i ja umieram. Może wtedy będzie wolny.

Poczułam lekkie dotknięcie do policzka.

- Kochanie, czy coś się stało? Stoisz tu tak długo. O czym tak myślisz?

Popatrzyłam nic nierozumiejącym wzrokiem na męża. Gdzie ja stoję? Gdzie ci ludzie? Jest jesień, a dopiero przecież był upał. Puściłam pień drzewa. Nic nie rozumiałam z tego co się wydarzyło. Spojrzałam w górę. Ta twarz tam była. Dąb zaszeleścił cicho liśćmi, jakby dawał mi znak, że zrozumiałam go właściwie. Odchodziłam powoli. W pewnej chwili odwróciłam się.

- Wiesz, ja to opiszę. Opowiem ludziom o tym nieszczęśniku. Może trafi się ktoś, kto będzie mu chciał wybaczyć. Bywaj!